



Warszawa d. 16 (28 Grudnia) 1878.

N<sup>o</sup> 52

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcja i Ekspedycja główna: ulica Czysta N<sup>o</sup> 415 (nowy N<sup>o</sup> 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Czynnicy. — Rozprawy i Sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Krak. Akad. Umiejęt. Tom VIII. II. — Makbet. Tragedia Szekspira. Studium literackie, J. Kotarbińskiego. (dokończenie). — Tankred. Romans Lorda Beaconsfielda. (Streszczenie). XV. — Drobnym przemysł na Wystawie Paryzkiej. IX. — Kronika Powszechna.—Do wszystkich.—Ogłoszenie.—Echa LII.

## CZYNszOWNICY.

Od lat kilku na porządku dziennym w piśmiennictwie naszym stanęła ważna kwestya uregulowania bytu czynszowników, tam gdzie oni jeszcze pozostali. Ta kwestya, którą rząd po dwunastu latach ścisłej deliberacyi, niemogąc uregulować na podstawach prawnych in statu quo pozostawił—wywołała siłę rozpraw i artykułów tu i owdzie rozrzuconych, a mało który z autorów zbliżył się choć trochę do prawdziwego jej rozumienia i przypatrzył się jej z należytego stanowiska. Jedną tylko zaletą za piszącymi przemawia, iż stawali po stronie przez los ślepy ukrzywdzonych, zabuwszy wprawdzie racyi możniejszych, niepozabawionej wszelkiej słuszności.

Poczynali sobie ci autorowie jako zawołani niegdyś kompromisarze zaściankowi, przecinający wszelkie niezrozumiałe dla nich kwestye onym sławnym „krakowskim targiem”, lub nie wnikając do wątku słuszności pretensyj, wyrokowali—„daj jeszcze bratku, bo ty masz więcej”—ale nie dla tego że mu się sprawiedliwie należy. Otóż taką samą siłą miecza Alexandrowego zamierzali publicyści przeciąć ów węzeł gordyjski, nad którym wielu statystów bez sukcesu głowy łamało. My zaś, wbrew ich impetowi nieuzasadnionemu badaniem, pragnąc gruntowniej rozpatrzyć tę kwestyę, stawimy sobie dwa pytania:

- 1) Zkąd pochodzą dzisiejsi czynszownicy?
- 2) i co im słusznie od większych właścicieli należało i należy?

Pocznijmy tedy porządkiem od pierwszego zadania. W wieku XVI, kiedy zbliżyły się politycznie stosunki Litwy i Rusi z Koroną, ludność tej ostatniej rzuciła się hurmem do zasiedlenia nowych, małoлюдnych jeszcze naówczas stron. Mężowie stojący u steru władzy i wojownicy za położone zasługi odbierając w nagrodę od królów obszary ziemi, szukali na jałowych piaskach Mazowsza nowych osadników na żyzne i urodzajne niwy—jakoż snadno znachodzili, tembardziej żenęli ich na wedy obszerniejszych ulg i przywilejów.

Nowymi osadnikami bywała po większej części szlachta. Jeżeli zaś kto się dziś dziwił zkąd jej się tyle wzięło? oto są do tego powody: rozrodzeni na szczupłych ob-

szarach ojcowizny już się nie mieli czem żywić i chętnie w urodzajniejsze strony emigrowali. A powtóre, jeżeli zwrócimy uwagę, że w dawnych wiekach wojowniczych bywało wiele szlachty świeżej nobilitacyi ze skartabellatów, tych zaś nowokreowanych dopiero prawnukowie co do godności i sprawowania publicznych urzędów, z dawną szlachtą byli zrównani<sup>1)</sup>. Z drugiej zaś strony, zważywszy prawo wzbierające szlachcie trudnienia się po miastach rzemiosłem, szykiem lub innym mieszczanskiem powołaniem pod utratą szlachectwa<sup>2)</sup>; nakoniec bujne rozdawnictwo większymi partjami ziem i królewszczyzn magnatom, sprawić musiało to następstwo, iż większa część szlachty przez nagłe a ryczałtowe faworyzowanie możnych, upadała musiała.

Ale nie sama tylko szlachta dawała kontyngens do tych nowych kolonizacyj; pomimo bowiem małości zaludnienia owego kraju, zawsze tam był stan kmiecy, chłopci miejscowi przypisani do ziemi (*glebae adscripti*) i wychodzący od strony rosyjskiej pozostali w stanie poddaństwa. Szlachta zaś osiadała tam na mocy dobrowolnych umów placenia czynszu, lub odrabiania małych powinności. „Małych” powiadamy, mając przed oczyma tabelle z r. 1797, w czasach zwiększonych potrzeb i zbytków, kiedy jeden dym kmiecy odbywał rocznie 10 dni pańszczyzny i 5 dni szarwarków, a prócz tego 3 dni tak zwanego „gwałtu” w czas żniwa. Cóż dopiero powiedzieć o ludzich dobrowolnie osiadłych, kiedy od pańszczyznianych tak mało wymagano? Nie dziw więc że się do nowych osad tłumnie garnała szlachta.

W każdym jednak razie zaludnienie tych nowych kolonij we względzie liczebnym, jak je dziś widzimy i wiek je XVIII przedstawiał, nie mogło się odbyć przez samych tylko mazurów, jak mieć chcą terażniejsi pisarze. Wiadomo, że w wieku XVII hetman w. k. Stanisław Koniecpolski założył Koniecpol, do którego należało miast 170, wsi 740<sup>3)</sup>. Prócz tego kolonizowali Potoccy nie-

<sup>1)</sup> Ob. Konstyt. z r. 1683, tyt. Nobilitacya osób. Konst. z r. 1685, p. 21, tyt. „Nobilitacya”. Konstyt. z 1736 r., p. 115, tyt. „Indygenaty”. Konst. sejmu koronac. 1764 r.

<sup>2)</sup> Konst. 1633 r., tyt. „O wywodzeniu szlachectwa”. Konst. r. 1677, tyt. „Nowa szlachta”.

<sup>3)</sup> „Pamiętniki o Koniecpolskich Stan. Przylęckiego”.—Nota bene, mowa tu o Koniecpolu, położonym w dawnym województwie Braclawskim; jest bowiem

mniej znaczne obszary na stepach Ukrainskich. Lubomirscy po obu stronach Zbrucza i w. i. Więc gdyby chcieli takie obszary tylko szlachtą mazowiecką obsadzić niewieleby na Mazowszu pozostało.

Nakoniec sama religia prawosławna przeważnie przez osadników wiejskich zachodniego kraju Cesarstwa wyznawana, zbija to mniemanie, jak twierdzić się podoba dzisiejszym badaczom, jakoby ową szlachtę przesiedloną panowie z czasem do stanu kmiecego zapisali.

Niesłusznie też o tem twierdzi, pan P. (*Nowiny* N-ro 125 i 126); jedno szczęście, że w konkluzyi przyznaje się, że wiadomości „zebrał naprędce”, kiedy mówi o wolnych ludziach (*wolnyje ludi*) stan znany tylko w wielko-rosyjskich guberniach i o dworowych ludziach (*dworowyje ludi*), również w zachodnich guberniach nieistniejący; z nich to miał uformować się stan „jednodworców” i jak p. P. twierdzi „nazwę tę otrzymali osadnicy ci od sadyb, dworów, w których na prawie emphyteusy dziedzicznej (!?) siedzieli”; „czynszownikami” zwano ich od „czynszu”...

Opuszczając te i tym podobne gołosłowne twierdzenia naprędce zebrał zobaczymy zkąd poszła owa nazwa „odnodworców”?—której początek dał ukaz 19 października 1831 r., następnie wciągnięty do „Zbioru praw Rosyjskiego Imperium” (Swad. Zakon. T. IX, art. 677), który tak opiewa: „Wszyscy mieszkańcy wiejscy przywróconych od Polski gubernij, należący do byłej szlachty, a niezatwierdzeni w godności szlacheckiej, jeżeli przytem nie utracili prawnego terminu dla wyboru kondycyi, składają stan swobodnych wiejskich obywateli<sup>1)</sup>, pod nazwą *odnodworców* zachodnich gubernij”.

W dalszych artykułach prawo to dzieli odnodworców na osiadłych w dobrach rządowych i obywatelskich; tym ostatnim nakazuje rządzić się wyborowemi z pomiędzy siebie gminami, pod głównem zwierzchnictwem władz gubernialnych— a tak pierwszych, jako i drugich podciąga pod powinność podatkową i rekrutacyi, na równi z in-

inny nad Pilicą, gniazdo wygastej już rodziny Koniecpolskich.

<sup>1)</sup> Wszakże nie oznacza to wolnych ludzi (*wolnyje ludi*), stan zupełnie odrębny w wielko-rosyjskich guberniach, do r. 1861 składający się z chłopów wykupionych lub uwolnionych od poddaństwa.

nymi nieuprzywilejowanymi stanami ludności Cesarstwa.

Jeszcze zanotujemy, że prawa (art. 5473 Sw. Zak. T. II) i obowiązki odnodworców względem właścicieli ziemi, na której osiedli, regulują się w ścisłym znaczeniu do wspólnie zawartej umowy. Nadto nakazuje gminnej władzy odnodworców przynaglanie w razie potrzeby do rzetelnego wypełniania obowiązujących temi umowami warunków.

Co do etymologii tego wyrazu „odnodworec” szukać jej nie potrzeba w żadnych „emphiteusach dziedzicznych” i t. p. Lecz źródłosłów jego leży w rosyjskim prawie, które przypuszcza dwa rodzaje szlachectwa: jeden przez nabycie rang i dostojenstw w służbie państwowej—drugi przez posiadanie w kilku pokoleniach ziemi przez włóścian osiadłej, przywilej przed 1861 rokiem szlachcie tylko wyłączni służyący—a ponieważ wyraz „dwór” w rosyjskim języku dość obszerne posiada znaczenie i co do wiejskiej organizacji oznacza równie sadybę chłopską lub rodzinę—z tą nieposiadających owych sadyb, jako właścicieli jednego dworu, *odnodworcami* nazwano.

To tedy prawo 1831 roku zmieniło postać tych kilkunastowiekowych osadników, którzy jako szlachta nie odbywając przez długie wieki żadnych powinności krajowi, oprócz w rzadkim razie pospolitego ruszenia lub służby wojskowej z własnej woli, podczas sobie sejmikując z panami, nieśli ziemskie ciężary bezwzględnie małoznaczące lub prawie żadne, bo niejednemu ziemiodawcy czynsz gardłowaniem na sejmiku odsłużyli. Ci sami następnie do upadku przejść musieli. Taki szlachcie (lubo i czynszownik) „na zagrodzie był równy wojewodzie”. A zresztą byli pomiędzy nimi potomkowie dawnych familij i nie masz tak znakomitego rodu, Tarnowskich, Zamojskich, Potockich, Jabłonowskich i t. p., ażeby pomiędzy temi siermięgami imienników i stryjców herbownych nie znaleźli, a może i koligatów; dowód najlepszy, że niejedna podupadła rodzina wywiodła swoje szlachectwo z magnackich dokumentów.

A że podupadli, cóż w tem nadzwyczajnego, przecie wiele rodzin zamożnych w oczach naszych ku upadkowi się pochyliło, dziwić się nie ma czemu, bo *sic transit gloria mundi*. Za wielkimi zaś statkami i te łódki w otchłań pociągnęły. Czemuż tak wielcy jako i mali swojego czasu nie byli oględniejsi?...

może to los na przyszłość zgotował w tem ciężkiem doświadczeniu naukę.

Przechodzimy do drugiego założenia naszego: *co się słusznie onym czynszownikom od większych właścicieli należało i należy?*

Odpowiem krótko: że należało wiele we względzie duchowym, a najprzód oświata, o którą przed półwiekiem prawie nawoływali tacy mężowie jak Czacki i wielu innych—ale napróżno, niestety!... Potem nie należało poniżać ich godności osobistej, nie upadlać ich przez intrygi sejmikowe i t. d. Ale to przeszłość miniona i niepowrotna. Co do bytu ich materyjalnego, ten przy dawnych małych czynszach i niewielkich wymaganiach, sądzę iż był dostatecznie zabezpieczonym.

Lecz ponieważ tamten kapitał niejako moralny długiem na nas zaciężył przez niewypłacalność, dziś trzymam tedy z wyższym rzeczonym kompromisarzem „*daj bratku, bo masz więcej*”.

Wszakże po za onem zobowiązaniem moralnem, którego nie negujemy, żadna logika w świecie nie jest w stanie dowieść, aby im się z prawa coś należało—albowiem nie nakładano na nich uciążliwych haraczów i nie wyzyskiwano materyjalnie, po lichwiarisku. Przeciwnie zaś w dawnej nierachunkowości wyższych warstw społeczeństwa, oni mieli pole do pozyskania dobrobytu, według stanu swojego.

Nikt zatem nie ośmieli się powiedzieć ażebyśmy na ich upadku ufundowali cudzą pomyślność. Byt ich związany z naszym, pogarszał się w miarę strat przez nas ponoszonych; razem z nami nieśli ofiary na ołtarz postępu i wielkich zmian społecznych, od czego żaden stan w kraju uchylić się nie może.

Przecie przed dwudziestu laty ten właściciel czynsz skromny pobierający, sam nie płacił żadnego podatku, nie odbywał wojskowej powinności, służyły mu wyłączne przywileje: posiadania ziemi osiedlonej przez chłopów, sam jako szlachcie miał prawo pędzenia gorzelnii, warzenia piwa, propinacyi i t. d. Dziś to się wszystko zmieniło (nie przeczymy że ku lepszemu), trudno atoli wymagać ażeby dochód do tyła umniejszony, trzymał się pierwotnej normy patryarchalnej względem czynszownikom.

Ponieważ w przekonaniu naszym sami przyznajemy pewne zobowiązania *czysto moralne* większych właścicieli względem czyn-

szownikom, niebysmy nie mieli przeciw na woływanie prasy do wspianiałomyślnego czynu—(za wyjątkiem wszelako owych badań naprędce dopełnianych, o których się wyżej nadmieniono). Lecz z drugiej strony głoszącym uczynność przypominamy, że zmiany ekonomiczne i wstrząśnienia krajowe, zanadto jeszcze świeżo ciążyą na właścicielach wiejskich i niejednym z nich, pomimo chęci najlepszych, sam tonąc ratunku nieść nie mocen—*ad impossibilia nemo obligatur!* Wszakże zauważyć raczcie, iż nie stajemy tu po stronie tych którzy *mogą a nie czynią*, w naszym przekonaniu potępienie dla nich gotowe.

## ROZPRAWY I SPRAWOZDANIA

z posiedzeń Wydziału historyczno-filozoficznego Krakowskiej Akademii Umiejętności. Tom VIII.

### II.

Z innych prac umieszczonych w VIII tomie rozpraw i sprawozdań, zasługuje na pilniejszą uwagę studjum p. Fryderyka Papée p. t. „Polityka polska w czasie upadku Jerzego z Podiebrada w obec kwestyi następstwa w Czechach (r. 1466—1471)”.

Autor staje na punkcie odrębnym, na politykę Kazimierza IV zapatruje się inaczej niż inni historycy, a surowo gromi Długosza, że stojąc na punkcie wyłączenie interesów katolicyzmu, lekceważeniem i umyślnym milczeniem pomija główne momenta doniosłej działalności Kazimierza w sprawie czeskiej. Pan P. ceni wysoko zręczną i konsekwentną politykę króla polskiego, rezultatem której, po długich walkach i pertraktacjach był nareszcie wybór królewicza Władysława na osierocony po śmierci Jerzego, tron czeski.

Autor zwolna i bacznie śledzi cały przebieg polityki Kazimierza na tle wypadków ówczesnych. Rzeczywiście niełatwe to było zadanie walczyć nie tyle orężem, ile zręczną dyplomacją z kilkoma potężnymi wrogami, zręcznie prowadzić łódź swą do portu pośród piętrzących się ze wszech stron bałwanów.

Już dawniej pośród zamieszek religijnych, czesi oddawali ster swej nawy politycznej w ręce Władysława Jagiełły lub litewskich

## ECHA WARSZAWSKIE.

### LII.

*Kuryer Codzienny* po koleżeńsku, choć w interesie ogółu podniósł myśl naszego wydawnictwa dzieł tanich, literatury ojczystej i zagranicznej. Słusznie twierdzi *Kuryer* iż wydawnictwo to mające intencje szerszego przedsięwzięcia cywilizacyjnego—może mieć wtedy tylko powodzenie, jeżeli się zalecać będzie doborem dzieł i wykonaniem tłumaczeń. Tak, niezawodnie i w interesie dobrze zrozumianej korzyści własnej uczynimy wszystko, aby ten warunek spełnić, choć zataić niemożna że przedstawia on trudności większe niż się komu zdaje. Gdyby chodziło o dobre przekłady dzieł naukowych, rzecz ograniczałaby się na wyszukaniu odpowiedzialnych tłumaczy i nie pospieszaniu roboty; nauczeni doświadczeniem przy pierwszej seryi 50-ciu tomów, zdołaliśmy uniknąć błędów wynikłych z zaufania do tłumaczy i pośpiechu—i mamy nadzieję że nikt nie zarzuci nie wykonaniu seryi drugiej naszego wydawnictwa, które obdarzyło polską literaturę takimi dziełami jak Prescota „Filip II”, Dixona „Ziemia Świę-

ta”, Legouvégo „Ojcowie i Dzieci”, Rankego „Papież i Papieżstwo”, i wiele innych. Lecz obecne wydawnictwo znajduje się w innych warunkach. Chodzi tu nie tylko o dzieła naukowe, ale i o dzieła sztuki literackiej—potrzebujące tłumaczy uprzywilejowanych, częstokroć poetów siły pierwszorzędnej. Niemiecki wydawca Reclam zadanie miał w swej „Bibliothek Universal” bardzo uproszczone. Dość mu było tak oryginalnych autorów jak tłumaczy doskonałych, których dzieła przeszły na własność narodu—drukować i po bardzo niskiej cenie 20 fenigów w masach upowszechniać. Ale wydawca polski w jakże innych jest warunkach. Oprócz kilku dzieł literatury Stanisławowskiej, cóż mu jest dostępne—bez kosztów, co zresztą mniejsza, ale bez długich starań zwykle bezskutecznych? Nie tylko dzieła oryginalnych pisarzy są jeszcze ich lub ich rodzin własnością, ale jeszcze wszędzie drogi pozagradzane różnemi względami i względziki. Dla objaśnienia przytoczymy kilka przykładów. Cóż jest naturalniejszego jak pozyskać dla naszego wydawnictwa znakomity przekład Elektry Małeckiego? Zacny tłumacz mając sobie przedstawioną naszą prośbę i oceniając ważność wydawnictwa, najchętniej się do niej przychylił, lecz słusznie zastrzegł, aby się na to zgodził pan Żupański nakładca pierw-

szej edycji.—Pan Żupański również chętnie przystaje—lecz ma on jeszcze sto egzemplarzy pierwszej edycji po trzy marki w zapasie i żąda aby takowe wprzód nabyte od niego zostały. Żądanie najsluszniejsze, ale czyż możliwe do spełnienia dla wydawnictwa, które zamierza sprzedawać toż samo co kosztowało 3 marki (dziś 1 rs. 56 kop.) za 12 kopiejek? Redakcja się tak urządziła, iż wszystkie żądania autorów i ich rodzin zaspakają w granicach umówionych, lecz ileż to razy skutkiem nieznamośności warunków wydawniczych przedstawiają się ze strony rodzin żądania niemożliwe. Niejednokrotnie po długich poszukiwaniach, staraniach i korespondencyj bez końca (często bez odpowiedzi), rodzina sama dopiero się dowiaduje, że jej członek kiedyś tam napisał lub przetłumaczył to i to; ale niechno redakcja zapyta się o warunki—za wydanie powtórne lub trzecie zażądanie stawia takie, jakiego się nie śniło autorowi za pracę umyślnie dokonaną na zamówienie. A ileż to razy się zdarza, że redakcyje nasze, te redakcyje co się mienią krzewicielami oświaty w kraju, stawiają swoje veto i niedozwalają przedruku nawet z roczników przeddwudziestolich! Moglibyśmy zacytować i takie przykłady. A jest to tylko część techniczna przedsięwzięcia. Teoretyczna przedstawia się trudniej. Weźmy

jego krewnych, następnie zwracali wzrok swój na Jagiellowego syna, młodego księcia Kazimierza. Lecz nie udało się te wszystkie usiłowania, a po wygaśnięciu rodu Albrechtowego, ze śmiercią Władysława Pogrobowca wybrali sobie czesi królem Jerzego z Podiebradu, rodaka swego. Przyczynę tego że idea połączenia Czech i Polski pod jednym berłem nie mogła przyjść do skutku, autor widzi słusznie w zbyt szorstkiem z jednej strony występowaniu husytyzmu, który nie pojmował tej prawdy, że władca przedstawiający wyłącznie jedno stronnictwo w kraju, już choćby dla tego na tronie utrzymać się nie może, że w wielu państwach liczne, a najróżnorodniejsze żywioły obok siebie żyją; z drugiej zaś strony w tem, że polacy za czasów Zbigniewa Oleśnickiego zbyt zaślepionymi byli katolikami, aby mogli przestrzegać swego interesu narodowego, jeżeli ten stanął w kolizji z Rzymem.

Ale za panowania Kazimierza okoliczności się zmieniły. Najpierw przekonali się czesi, że utrakwistyczne rządy u nich ustalić się nie mogą; w Polsce zaś władza królewska zaczęła brać górę nad duchowną, a sprawy narodowe nad sprawami kuryi rzymskiej.

Partya magnacko-katolicka w Czechach podniosła bunt przeciwko królowi-kacerzowi. Po stronie jej stanął Rzym, a mianowicie papież Paweł II, który koronę czeską ofiarował królowi polskiemu i skłaniał go do wystąpienia zbrojnego i zrzucenia z tronu Jerzego. Zdawało się napozór najprostszą rzeczą iść i wziąć tę koronę, do której Kazimierz rościł sobie pewne dziedziczne pretensje, tembardziej że zabór uświęcony był powagą władzy papieżkiej. Ale polityczny wzrok Kazimierza inaczej rzeczy widział. Oprzed się na jednym stronnictwie katolickim było to ufundować swą władzę na bardzo niepewnym fundamencie. Rozum nakazywał iść inną drogą: obecnego zaproszenia wprawdzie nie odpychać od siebie, lecz niemniej starać się o zachowanie przyjaźni z Jerzym, aby potem można było na drodze dyplomatycznej o uznanie narodowej większości czeskiej się ubiegać. Gdy to uzyskać zdoła, będzie mogła rodzina jagiellońska po śmierci Jerzego, bez żadnego oporu berło Czech w swoje ręce uchwycić. Zwleka więc z odpowiedzią, pod pozorem, że sprawa ta dla swej ważności może być dopiero na walnym sejmie w maju 1467 r. rozstrzygnięta.

Jerzemu oświadcza się Kazimierz z życzliwością i w ogóle postępowaniem swem zniechęca do siebie papieża, lecz mimo to legaci papieży ciągle nalegają aby król polski przedsięwziął nieprzyjacielskie kroki przeciwko kacerzowi; w Polsce silna partya katolików, bezwzględnie hołdujących kuryi, również silny nacisk na królu wywiera. Kazimierz obie strony trzyma w szachu, z Jerzym pozostaje nadal w przyjaznych stosunkach, a sprawę przyjęcia korony czeskiej z rąk stronnictwa katolickiego w Czechach pod różnymi pozorami odwłoczy. Nadeszła chwila stanowcza. Na dzień 13 sierpnia 1467 r. zwołany był sejm walny w celu załatwienia sprawy. Kazimierz pod naciskiem ze wszech stron, nie odstąpił od swej rozsądnej polityki. Dążył do korony czeskiej, ale tylko drogą dobrowolnego ustąpienia przy życiu lub po śmierci Jerzego, który zaczynał się coraz bardziej przekonywać, że panowanie w jego rodzinie w żaden sposób pozostać nie może. Pozostała tedy tylko jedyna droga—droga dyplomatycznych układów, a mianowicie pośrednictwa pomiędzy zwaśnonemi stronami. W całym sporze szło przeważnie o kwestję sukcesji, musiała więc takowa wśród układów pokojowych przyjść na porządek dzienny, a wtedy następstwo słowiańskiego i katolickiego królewicza Władysława po śmierci Jerzego w Czechach mogło się stać właśnie ową drogą pośrednią, na której się obie partje zejść mogły, osi i nicią przewodnią całego układu pokojowego. Tak mógł Kazimierz w pokoju z obiema stronami swe pretensje utrzymać, tak mógł z walki dwóch jako trzeci rozjemca korzyść wyciągnąć.

Pośrednictwo pokojowe z początku szło niepomyślnie, posłowie polscy popsuli nawet sprawę, broniąc więcej sprawy pokoju, niż interesów króla polskiego i pozwoiliwszy magnacko-katolickiemu stronnictwu czeskiemu, które zniechęciło się już zwlekaniem Kazimierza, zebrać siły i wejść w stosunki z Maciejem, królem węgierskim. Ten ostatni występuje jako pretendent do korony czeskiej, popierany przez cesarza niemieckiego i papieża.

Kazimierz nie traci nadziei, szuka stronników, gotuje siły do walki, dyplomatykuje z czechami, papieżem i Maciejem. Ten ostatni występuje zbrojnie przeciwko Jerzemu i w walce znajduje powodzenie. Lecz Kazimierz zaczyna już zbierać pierwsze owoce

rozumnej swej polityki: Jerzy pod naciskiem wypadków politycznych, myśli już głównie tylko o ocaleniu przynajmniej głównej przewodniej idei swego żywota, o zapewnieniu żywiołowi słowiańskiemu, jeżeli już nie husytyzmowi, przewagi w Czechach, a z tem jego postanowieniem zgadzała się tak do brze ta okoliczność, że właśnie owa rodzina jagiellońska, przez którą chciał w Czechach wzmocnić żywioł słowiański, tak wierną przyjaźń mu dochowała, ostatnim jego i jedynym pozostała sprzymierzeńcem w dniach potrzeby. W dniu 16 maja 1468 r. poseł Jerzego, Albrecht Kostka stawiał się w Krakowie, aby pierworodnemu synowi królewskiemu, Władysławowi uczynić nadzieję następstwa w Czechach po śmierci Jerzego z Podiebradu. Za to Jerzy żądał pomocy dyplomatycznej, a mianowicie pośrednictwa u Macieja i papieża. W skutek tego panowie pośrednicy pokoju wyruszyli z Krakowa ku Czechom, ale nie znowu nie uzyskali. W Czechach stronnictwo katolickie wzięło górę i dnia 3 maja 1469 roku Maciej obwołany został królem Czech.

Wyświetliła się sytuacja polityczna. Król polski wiedział już z kim ma walczyć i zaczął przygotowywać się do walki. Rozpoczął silną walkę dyplomatyczną, owocem której było zniechęcenie cesarza do króla węgierskiego, zachwianie pozycji tego ostatniego we własnym kraju, wreszcie ogłoszenie przez Jerzego następcą swym królewicza polskiego; wreszcie zastrasżające postępy potęgi tureckiej, przeciwko której potrzebna była papieżowi pomoc Polski, polepszyła jeszcze bardziej sytuację Kazimierza. Śmierć Jerzego, która nastąpiła 22 marca 1471 r. dopełniła reszty. Król kacerzy już nie żył, Kazimierz mógł wystąpić jawnie ze swą polityką, nie obawiając się gromów ze strony kuryi rzymskiej, obaj pretendenci do korony byli zarówno dobrymi katolikami i chodziło już tylko o kwestję polityczną, a nie religijną. O skuteczności polityki Kazimierza świadczy najlepiej wpływ, jaki wywarła na wyborcach czeskich mowa posła polskiego, który przypomniał czechom, jak w czasie kiedy ich króla wszyscy opuścili, tylko jeden król polski wiernie po jego stał stronie, jako wśród uciążliwych i mozolnych zabiegów nad uspokojeniem Czech pracował, w obec wszystkich zaś najświetniejszych propozycyji kuryi głuchym i niewzruszonym pozostał. Gdy skończył, otoczyli go czesi

znów przykład. Przecież zbiór taki jak nasza Biblioteczka nie może się obejść bez Iliady... W Niemczech było do wyboru tłumaczeń bez liku i doskonałych z zeszłego wieku, a więc własnością narodu będących. U nas jest trzy przekłady i wszystkie niewystarczające, bo albo nie odpowiadają godności arcydzieła, albo są językowo niemożliwe. Co zrobić? Polecieć wykonać nowy przekład? ależ to wymaga lat czasu i pociągnęłoby koszta niemożliwe do poniesienia dla przedsiębiorstwa w takich warunkach wychodzącego. Więc dać pokój Homerowi? czyli skazać nieumiejących obcych języków na nieznaną nawet w treści tego arcydzieła. Dziś jedynie jeszcze z biedą możliwe do czytania tłumaczenie Iliady Dmochowskiego jest wyczerpane i z trudnością nabyte być może po cenie 2 do 3 rubli za egzemplarz. Pytanie czy przedrukować ten przekład i dać go mimo braków za 36 kopiejek ogółowi, czy też nie? Jeśli przedrukujemy—toż to powstanie larm w gronie najserdeczniejszych—toż to dopiero pioruny rzucić będą kwadraciki i niekwadraciki! A jednak nauczcie nas panowie raczej jak mamy lepiej zrobić? W ogóle więc przedsięwzięcie nasze zależy od dwóch warunków, od pomocy literatów, tłumaczy do których się niniejszem zwracamy i od umiarkowanych wymagań publiczności. —

Pierwsi niech otworzą skrytości swych tek, niech się nie wahają mimo różnic w zapatrywaniach z Redakcją *Przeglądu* przyjść w pomoc jej *odrębnemu*, żadnej propagandy prócz propagandy oświaty niemającemu na celu przedsięwzięciu. Trzeba pamiętać, że tu chodzi nie o zyski wydawcy, które przy 12 k. ceny za 5 arkuszy petitu łatwe są do obrachowania—ale o ogólne dobro, o oświatę mas, które tanich i dobrych książek polskich potrzebują. Drudzy, to jest kupujący, niech pomną na niewielką cenę tomiku, niech porównają z podobnem wydaniem Niemieckiem i nie wymagają od wydawcy rzeczy niepodobnych. Wydawnictwo zrobi swoje: da dobre przekłady arcydzieł, ale przekłady możliwe—niechże krytyka sądzi surowo lecz względnie, a publiczność niech nas nie słowem ale w czynie poprze.

Pan Piotr Chmielowski w grudniowym zeszycie *Biblioteki Warszawskiej* stwierdza ten fakt, iż powieściopisarstwo dla dzieci i młodzieży od czasów Tańskiej nie zdobywszy się na żaden rzeczywisty wyższy talent, nie daje ku wykształceniu młodego pokolenia tych pierwiastków rodzinnych, które w fundamentach wychowania iście narodowego położyć wypada. Pierwiastki obce drogą przekładów zalewają nasze wydawnictwa dla dzieci i wypaczają odrazu poczucie na-

rodowe, które winno być pilnie pielęgnowane i strzeżone. Sumiennym rozbiorem autor dowiódł, iż powieściopisarki i powieściopisarze nasi skutkiem jednostronności poglądu na twórczość pisarską dla dzieci, zamiast utworów o postaciach żywych, z charakterem dziecięcym dobrze zbadanym, kreślą moralne fikcje w bezpośrednim celu moralizatorskim, bez dokładnego artystycznego rozmysłu, obrobienia i zajęcia. Krytyk zrywa piszących— a mianowicie piszące, aby dolożyły większego baczenia na swoje prace, aby starały się osiągnąć wyższy stopień artystycznego ich wykończenia, gdyż tym tylko sposobem osiągnąć mogą rzeczywiste, a pożądane podniesienie swojskiej literatury dla młodzieży i spełnić ten święty obowiązek względem młodego pokolenia, jaki bezsprzecznie na kapłankach literackiego ogniska ciąży. W ostateczności radzi pan Chmielowski, w poczuciu dobrze zrozumianego obywatelstwa przerabiać zamiast tłumaczyć utwory powieściowe obce, naturalnie przerabiać umiejętnie w zastosowaniu do naszych potrzeb, zwyczajów, obyczajów, otoczenia, natury i t. d. Środek to dobry, ale my byśmy znaleźli lepszy jeszcze może w przerabianiu naszych własnych powieści do potrzeb i pojęć dziatwy, a mianowicie młodzieży. W tym względzie wyprzedziła nas już zagranica,

w głębokiem wzruszeniu i uściśnieni polaków serdecznie ze łzami w oczach. Dnia 27 maja 1471 r. Władysław Jagiellończyk jednogłośnie królem Czech został obwołany. I była wielką radość na Polsce, Litwie, Rusi i Czechach — zjednoczonych w jedno potężne państwo słowiańskie.

Wspomnieć jeszcze należy o rozprawie ks. Ignacego Polkowskiego, p. t. „Pieczęćka Sulkona, kasztelana krakowskiego, z r. 1243”.

Autor słusznie twierdzi, że sfragistyka czyli znajomość dawnych pieczęci, stanowi jedną z najważniejszych pomocy naukowych, dla gruntownego poznania źródeł historycznych, szczególnie odnośnie do tych epok, w których głównym i najważniejszym i można rzec prawie jedynym dowodem autentyczności dokumentu była pieczęć, zastępująca miejsce podpisu samego.

Sfragistyka jest nauką bardzo mało jeszcze w piśmiennictwie naszym opracowaną. W najlepszych na tem polu pracach Czackiego, Lelewela i Żebrowskiego jest jeszcze wiele braków, wiele rzeczy niedomówionych i nie ma ostatecznego krytycznego zdeterminowania.

Powód tych niedokładności leży w braku materiałów, które dopiero z wolna się gromadzą. Jeden z takich właśnie cennych materiałów dostarcza sfragistyce praca ks. Polkowskiego.

Opisuje nam autor znakomity zabytek archeologiczny — pieczęć herbową polską z XIII wieku, rytą na złocie.

W roku 1848 Dr. Torzański, w Sandomierzu zamieszkały, od robotników rozbierających stary dom w rynku nabył dwustronną pieczęć rytą na złocie, według starego obyczaju kółkiem, tak jak niegdyś ryto kamie. Pieczęćka ta kształtu owalnego, miała w środku wyryty herb czy też znak jakiś, a w otoku napis *s. Suconis*. Ze strony odwrotnej na karniole wyryta była wkleśle twarz nakształt medalu rzymskiego, a w okółko niej na rąbku złota biegł napis: *Ave Maria Gratia*. Do obu tych napisów użyto pisma scholastycznego inicjałowego, dawnej italiki.

Od D-ra Torzańskiego w kilka lat potem, pieczęćka ta dostała się w inne ręce, następnie przeszła przez kilka rąk, dostała się narreszcie handlarzowi monet w Frankfurcie, od którego nabył ją K. Beyer, który zakomunikował ją ks. Polkowskiemu, a ten dopiero po niedługim czasie poszukiwania,

przerabiając np. *Jacka—Daudeta* na bardzo zajmującą powieść; toż samo przerobione zostały niektóre powieści Erkmana Chatriana, Spielhagena i innych. Przeróbka zasadza się nie na wykreśleniu kilkunastu scen lub ustępów dla dzieci niewłaściwych, ale na zatrzymaniu rysów artystycznych dających życie głównym postaciom, oraz wypełnieniu fabuły powieściowej treścią zastosowaną do wieku. Jesteśmy przekonani że niektóre powieści Kraszewskiego dałyby się doskonale w ten sposób ułożyć i do użytku młodzieży zastosować. Istotną bowiem rzeczą iż brak zdolnych powieściopisarzy piszących dla dzieci, jest główną przyczyną zastój naszej literatury i prawdziwą przeszkodą w redagowaniu poczytnych pism dla młodzieży.

Nowość. Jest nią *Kieszonkowy Kalendarzyk Informacyjno-Muzyczny na rok 1879*, wydany własnym nakładem przez pp. J. Tarczyńskiego i W. S. Nazywamy kalendarzyk ten nie bez racji nowością, ponieważ będąc przeznaczony wyłącznie do użytku muzyków oraz osób interesujących się muzyką, stanowi u nas pierwszą w tym rodzaju, na wzór zagranicznych publikacji. Oprócz zwykłej części kalendarzowej, miejsca na notatki, zawiera on ważne informacje: o zakładach, towarzystwach i czasopismach muzycznych, salach

przejrzawszy kilka kodeksów dyplomatycznych, znalazł, że Suco było to samo co *Sulko* (Sulisław albo Zulisław) i że pieczęćka odnosi się do XIII wieku. Imię to nosiło kilka znakomitych osób w Polsce.

Dalej szanowny autor dochodzi do nader ważnego odkrycia, że pieczęćka Sulkona, to jest tłok pieczęci identyczny jest z pieczęcią przy dokumencie Leszka Czarnego z roku 1286, zawierającym potwierdzenie przywileju Bolesławowego z r. 1243.

Pieczęćka ta, na której jest herb Ostrzew, zbija mylnie mniemanie jakoby Sulko, kasztelan krakowski, pieczętował się herbem Topór.

Wogóle znaczenie pieczęci prywatnych jest ważne w dwóch względach: 1) zamieszczone na nich herby rodowe prostują bardzo często mylnie przez heraldyków przypisywany herb tej lub owej rodzinie, temu lub owemu dygnitarzowi dawnej Polski; 2) nie tylko podają nam pierwotne kształty herbów, odmienne, później rysowane, ale dają nam wiele takich znaków, które nieznanne są heraldykom naszym.

## MAKBET.

Tragedya Szekspira w pięciu aktach.

STUDYUM LITERACKIE

J. Kotarbińskiego.

(Dokończenie.)

Wobec zony w stanowczych chwilach działania Makbet ponury, szarpany wewnętrzną walką, uczuwa nawet pewien rodzaj wstydu czy osłupienia. Niemoże tak śmiało spojrzeć w oczy swym zamiarom; gdy ona bystrym wzrokiem energii widzi ich spełnienie, on wojownik i bohater lęka się zrazu wobec niej wyznać swą bojaźń i skrupuły i unika zrazu rozmowy o krwawych zamiarach przyszłości.

Ona tymczasem groźna i śmiała podejmuje się sama dźwignąć zbrodnię, wita wstępującą w jej progi królewską ofiarę aktem wybornie odegranej obłudy, a całą moc swego rozumu i energii wysila na to aby zabić w jego duszy resztki lepszych uczuć, buntujących się przeciwko demonicznemu instyngtom. Pod względem moralnym lady prowadzi dalej dzieło czarownicy, jest pracowniczką złego, rozdmuchuje pożar namię-

koncertowych, orkiestrach tak za granicą jak w kraju. Jest także ustawa Towarzystwa Wsparcia artystów muzyków, o istnieniu którego nie wszyscy nawet muzycy wiedzą, lista nauczycieli muzyki i śpiewu w Warszawie, wraz z ich adresem, wiadomość o fabrykach i korektorach instrumentów, i t. p. Opracowanie sumienne czyni publikację pożyteczną, a porządna oprawa ponętną.

Zapowiadają nam od Nowego Roku nowe pismo ludowe. Bodajby tylko u steru jego stanęli ludzie z głębokiem i zdrowem pojęciem podjętego ciężkiego zadania; łatwiej bowiem pisać dla filozofów, którzy czytają i oceniają rzeczy krytycznie i kłokol od zdrowego ziarna oddzielić potrafią. Z ludkiem rzecz się ma inaczej, który jak dziecko spożywa pokarmy znajdujące się pod ręką, nie bacząc czyli są zdrowe. Jeżeli tedy nowe pismo ma być dalszym ciągiem prowadzonej nieogłędnie *Zorzy*, zbywającej czytelników prostaczków pierwszą lepszą zbieraniną, bez systematu i należytego kierunku, to lepiej niechby zamiar nowego wydawnictwa z kolebki wstąpił do grobu, aniżeli ma szkodę zamiast pożytku przynosić.

Czytelnikom naszym którzy kiedykolwiek zwiedzali Instytut głuchoniemych al-

tności z iskry rzuconej przez złość szatańską. Z jaką potęgą druzgoczącej pogardy rozbija ona resztki skrupułów męża, jak chłoszcze go biczem dotkliwej ironii drażniąc dumę, tę najdrażliwszą stronę charakteru mężczyzny i ambicyi wojaka. W zwycięztwie jaką jej potężne argumenta odnoszą nad wahaniem Makbeta, maluje się nam najdobitniej moralna strona jego charakteru. Wobec zbliżającej się chwili mordu, jego moralne poczucie działa silnie w chwilach refleksyi. W tym głosie sumienia nuta obawy o moralną karę poprzedza poczucie obowiązku, świadomości szkarady zbrodniczych zamiarów i stanowi ostatni górujący jego akcent. Pod wpływem potężnej wymowy lady, wszystkie skrupuły moralne znikają w duszy bohatera niemal bez cienia oporu, jedynym zaś argumentem jaki Makbet przedstawia zonie jest: „A jeśli chybimy?” Praktyczna wieg obawa o skutki zbrodni, niepokój podniecany gorączkową wyobraźnią jest względem silniej tamującym zbrodniczą energię Makbeta, aniżeli względy etycznej natury — i na tej podstawie podług mnie najprawdopodobniej się wyjaśnia właściwy, nie podniesiony miarą jednostronnego idealizmu stopień moralnej wartości bohatera. Gdy bowiem lady zagłuszyła i tę obawę, postanowienie mordu z ust jego wypływa energicznym porywem, pełnym pół-dzikiej radości i poczucia tryumfu, a zamiast wahania energia jego objawia się w mocnym postanowieniu skupienia wszystkich sił do tego okropnego czynu.

Najgłębiej jednak w duszę bohatera poeta pozwolił nam spojrzeć w owej scenie morderstwa Dunkana, która pod względem prawdy i grozy tragicznej mało ma sobie równych w całym obszarze dramatycznej twórczości. Psychiczna natura bohatera podlega wtedy najsilniejszym wstrząśnieniom i odkrywa wszystkie swe tajemnice. Jak każdy charakter podlegający jednej wygórowanej namiętności, Makbet w tym kulminacyjnym punkcie okazuje wielkie wstrząśnienie władz umysłowych, ujawniające się w objawach prawie patologicznych, które w dramatach Szekspira zgodnie z życiową prawdą, są wynikiem najwyższego przesilenia sił duchowych w jednym kierunku.

Makbet zostający pod wpływem jednej naczelnej namiętności, wstrząśnięty ważnością chwili, stojąc nocą przed progiem komnaty w której spoczywa jego ofiara, wskutek we-

bo uczestniczyli przynajmniej w uroczystych egzaminach takowego, wiadomo jak wielkiem dobrodziejstwem jest dla nieszczęśliwych dotkniętych utratą słuchu i mowy *nauka sztucznego wymawiania*. Nauka ta nie we wszystkich zakładach wprowadzona, wraca jedynie nieszczęśliwego głucho-niemego na łono społeczeństwa, pozwala mu bowiem choć proste zdania wymawiać i udzielone odpowiadzi z ruchu ust osoby mówiącej rozumieć. Niewiele jednak osób ma wyobrażenie, jakiej to pracy wymaga po nauczycielu podobna mozolna lekcya. Otóż dla ułatwienia tego procederu, jeden z hiszpańskich fotografów wystawił na Paryżkiej ekspozycyi, kolekcję odfotografowanych w większym formacie ust i położenia języka przy wymawianiu głównych dźwięków mowy. Uczniowie przypatrując się i naśladowując te położenia, dochodzą daleko szybciej do wprawy i wydawania stosownego głosu. Nam się zaś zdaje, iż przygotowanie w gipsie podobnych plastycznych odlewów, miałooby wielkie zastosowanie przy nauce głuchoniemych lub poprawie szepleniącej, niewyraźnej i t. d. mowy dzieci. Na to nowe zastosowanie fotografii zwracamy uwagę którego z fotografów, jak również i Sz. Dyrektora Instytutu Głuchoniemych, lubo bardzo być może iż pomysł ten jest mu już znanym.

wewnętrznego napięcia wyobraźni wpada w stan hallucynacji<sup>1)</sup>. To złudzenie wyobraźni pojawiające się u chorych umysłowo, nie jest tu jednak objawem patologicznym, ale bezpośrednim skutkiem wstrząszeń czysto psychicznej natury, dla tego też wchodząc w dziedzinę psychiatrii, nie przekracza granic poezji, nie mającej z natury swojej wspólności ze szpitalem. Ciemność, samotność, zabobonna obawa i zgroza, gwałtowny przymus zadawany naturze tak dalece opanowują Makbeta, że widzi przed sobą w formie dotykanej plód własnej wyobraźni, sztylet ukazujący mu drogę do mordu. Z tem widziadłem pasuje się Makbet wysiłkiem samowiedzy, złudzenie wzroku kontroluje za pomocą dotykania i nakoniec doszedłszy do pewności złudzenia, oddając się ponurym marzeniom, podajca okrucieństwo zabobonnemi i posępnemi myślami o wpływie demonicznych potęg, a wyobraźnia jego roztacza przed nami wspaniałą mistyczną poezję zbrodniczego skupienia.

Po dokonaniu mordu na hasło lady, para małżonków, złączona zbrodniczą tajemnicą, ciekawy kontrast przedstawia. Ona, nieugięta, energiczna, przygotowuje spełnienie strasznego czynu, zaciera jego ślady, ale nie może się sama odważyć na spełnienie, gdyż w stanowczej chwili jej niewieścia natura odzywa się chwilowym, ale stanowczym głosem protestu.

On, spełniwszy rzecz na dobrotliwym i szlachetnym królu, jest spiorunowany poczuciem okropności. Chwila niedawna z całą okropnością wyrwała mu się w pamięci, z ust wychodzą urywane, bezładne słowa, głos sumienia i wstrząśnienie wyobraźni wywołują nową hallucynację. Mordował w ciemności, zaciskając dech w piersiach, gdy słyssał pacierze dwóch synów królewskich, wyteżając ucho na najmniejszy szmer i dla tego też już nie wzrok, ale słuch jego stwarza złudne dźwięki a sumienie w jego wyobraźni przemawia jakby obcym głosem, przejmującym do śpiku kości „Makbet sen zabił, a więc nigdy już nie zaśnie!” Głos ten zapowiada najcięższą dla Makbeta karę wewnętrzną męczarni duszy i niepokoju a przerażenie ogarnia tak silnie jego duszę, że tym razem samowiedza nie czyni nawet wysiłków, aby się otrząsnąć z tej straszliwej zmyry. Przerażenie to wzmagają się do ogromnych rozmiarów, wypowiedzane znowu we wspaniałych i potężnych formach a kończy się przygniatającem poczuciem bezgranicznej okropności. W tej całej burzy, miotającej duszę zbrodniarza, kojarzy się głos sumienia, szal wyobraźni i poczucie okropności, jakie na zmysłach i umyśle człowieka wywołuje tak straszny gwałt zadany naturze, zdradziecki napad na namaszczonego osobę królewskiego pomazańca. Sumienie przemawia tu najdonioślejszym głosem, a jednak nie jest tak silnem, aby obudzić żal i skruchę w duszy zbrodniarza. Względem praktyczne osiągnięcia celu nadają główny akcent woli bohatera. Dla Makbeta zbrodnia nie była celem, ale środkiem tylko, o którego właściwe wyzyskanie stara się wkrótce całą mocą obudzonej na nowo energii. Nie morduje on jak Otello w ślepym zapędzie samotrąwiającej się namiętności, która w tym okrutnym akcie znajduje ujście dla swej wścieklej siły, ale morduje zadając sobie gwałt, wysługując się praktycznym potrzebom swej namiętności, po szczyblu zbrodni stąpa do wyniosłego celu. I wkrótce widzimy, jak nad mękami jego sumienia, nad zmorami wyobraźni zapanowała stanowczo męzka energia, jak Makbet niedawno ogłuszony poczuciem bezgranicznej zgrozy, odzyskuje całą swą przytomność, a gdy wieść

o morderstwie rozległa się po zamku głosem sądnej trąby i poruszyła wszystkich mieszkańców zamku, Makbet w nadludzkiem prawie wysiłku przemaga niepokój wewnętrzny, zdobywa się na doskonale już odegraną obłudę rozpacz i oburzenia, i morduje sługi króla aby zatrzeć ślady swej zbrodni. Skoro już pierwszy krok postawił na drodze zbrodni, kroczy na niej z siłą nieugiętego fatalistycznego rozpędu. Ta chwila jest punktem zwrotnym w rozwoju charakteru; od niej zmieniają się role małżonków. Lady niedawno w stanowczej chwili taka nieustraszona, podczas alarmu ratuje się sztucznym omdleniem z fałszywej sytuacji, gdy Makbet przodując w tym akcie powszechnie rozpacz śmiało toruje sobie drogę do tronu.

Ukazując następnie swego bohatera na wymarżonym przez niego szczycie ziemskiej wielkości, poeta ukazuje powolne zatrucie jego duszy pod wpływem wzmagających się instynktów tyrańskich. Chociaż sumienie Makbeta odzywa się jeszcze słabym głosem, na punkcie moralnym stał się on już ponurym i zatwardziałym fatalistą. Straszliwa samowiedza zbrodni odjęła mu nadzieję lepszej szczęśliwości, wie on dobrze „że swój wieczny klejnot oddał na łup wspólnemu ludzi nieprzyjacielowi”, a jedyną żądzą którą opanowała jego umysł, jest obecnie chęć ubezpieczenia uzurpowanej władzy, która w dążeniu swym ani na chwilę nie ulega już skrupułom sumienia. Od tej chwili zaczyna się stopniowe zdziczenie Makbeta, i coraz to większe zatrucie jego charakteru.

Wspomnienia niedalekiej zbrodni goszczą w jego mózgu nietyle jako oskarżające wyrzuty, ale jak widma okropne przesładują w snach tyrańca. Są to jednak więcej wstrząśnienia imaginacji, „tortury umysłu” niemogącego otrząsnąć się z śladów gwałtownych wrażeń (the torture of the mind) a nietyle „tortury sumienia”, jak to błędnie przetłumaczył Paszkowski w duchu tych komentatorów, którzy zbyt przeceniali w charakterze Makbeta działanie uczuć i popędów moralnych. Posępny umysł Makbeta podlega znowu morderczej monomanii, będącej wynikiem tyrańskiego niepokoju. Chęć utrzymania władzy i wyzyskania możliwych skutków zbrodni, każe mu myśleć o zgładzeniu Banka, który wydaje się jedynie niebezpiecznym rywalem do władzy, tembardziej że wróżby wieszce przepowiedziały koronę jego potomkom. Makbet nie chce się poddać tej wróżbie i wierząc w głos przeznaczenia, postanawia za jakąbądź cenę opór mu stawiać. Niedawno wahający i chwiejny, stanowiąc na upragnionym szczycie, Makbet coraz bardziej tężeje w swej zbrodniczej energii, z granitową rezygnacją starożytnych bohaterów tragedji wyzywa „los w zapasy”. Chociaż wspomnienia dawnej zbrodni mającą mu w myśli, „skorpion” męczarni i niepokoju dręczą jego serce dla tego tylko, że Banko i Fleance, syn jego, jeszcze żyją, dla tego że plon krwawej jego pracy, okupiony moralnem zatruciem duszy, ma spaść na obcych potomków. Wprawdzie Makbet nie ma jeszcze dzieci, jako uzurpator nie może się spodziewać utrzymania tronu dla swej dynastji, ale myśl ta opanowała stanowczo jego wyobraźnię, która ze zwykłą sobie gorączkową siłą podnieca niepokój żądzy niecierpliwej. Postanowienie mordu pojawia się już bez walki, jako sofistycznie przez Makbeta wyrozumowana konieczność, wynikająca z jego położenia i szybko zamienia się w czyn. Znalazłszy odpowiednich dla spełnienia tej krwawej myśli oprawców, Makbet z ponurą gorliwością podsyca ich zbrodnicze chuci.

Przemawiając do morderców Makbet podszczuwa ich zemstę na Banku, usilnie namawia do mordu, i pod tym względem okazuje się mniej wyrafinowany okrutnym od Ryszarda III, który w podobnej sytuacji

poczyna sobie stanowczo a krótko, wydaje rozkazy mordercze z zimną krwią zaprawioną odcieniem złośliwej ironji, z lekceważeniem okrutnem, jakby śmierć człowieka była nie nieznaczącą bagatelką. Morderstwo to znowu całkowicie opanowuje myśli tyrańca, który podczas biesiady ugaszczając swych dostojnych gości, łakomem uchem słucha sprawozdania zbiera o szybko dokonanej zbrodni. Wyteżoną gorączkowo imaginację Makbeta uderza silnie to opowiadanie oraz widok krwi ofiary na licu mordercy, ale zarazem przeraża ją w wysokim stopniu wieść o ucieczce syna Banka, unicestwienia najważniejszego celu haniebnej zbrodni. Napróżno tyrańca stara się stłumić trwogę i niepokój płynący z tego zawodu, napróżno chce zapanować nad wewnętrznym wzburzeniem i grając komedję biesiadnej ochoty igrać ze wspomnieniem świeżo zamordowanej ofiary. Gdy strojąc usta do wesołego uśmiechu wznosi toast na cześć Banka, jego przelęknionym oczom okazuje się zakrwawione widmo nieszczęśliwego i krwawym widokiem przypomina niedawną zbrodnię. Czy pojawienie się widma Banka należy uważać za cudowne zjawisko, za obecność tanto-swiatowego mieszkańca, czy też za obraz wystraszonej imaginacji samego bohatera? Na to pytanie nie odpowiadamy w tej chwili stanowczo, gdyż ściśnione ramy tej pracy, nie pozwalają nam bliżej rozjaśnić poglądu poety na stosunek ludzi żyjących z istotami tamtego świata. To pewna jednak że niezależnie od tego, czy poeta traktował ukazanie się ducha Banka jako zagrobowego zjawiska, czy jako mary wyobraźni, całą psychologiczną charakterystykę tego momentu jest najzupełniej ścisłym i zgodnym z obserwacjami nauki obrazem hallucynacji. Dla obecnych przy królewskiej biesiadzie duch Banka nie jest widzialnym, i tylko Makbet wlepią w niego obłąkane źrenice i jak każdy kto podlega tego rodzaju widzeniom, sądzi że ma przed sobą istotne widmo a nie obraz rozgorączkowanego mózgu. Widzenie to zresztą jest zupełnem odbiciem wrażeń, które tylko co doznał Makbet wyteżając myśl niespokojną i pojawia się właśnie w chwili, gdy tłumiąc wewnętrzną obawę wspomina on zamordowaną ofiarę a znika, gdy wyteżając całą siłą konwulsyjnej energii Makbet stara się uwolnić od tego mroźnego szpiku w kościach widoku. Wstrząśnienie umysłu jest tak silne, że Makbet niezdolny jest dojść do samowiedzy swego złudzenia, jak przy owem widmie sztyletu, ale wierzy w realność tej „cudowności stworzonej przez mózg” swój własny. Sumienie znowu gra tu mniejszą rolę, niż wystraszona grozą wyobraźnia, gdyż Makbet oprzytomniawszy po strasznej męczarni, nie czuje skruchy, ale tylko wyczerpanie sił fizycznych, co mu jednak nie przeszkadza snuć zaraz wątek tyrańskich zamysłów i przygotowuje nowe mordy, mające podtrzymać na jego głowie krwią skalaną koronę. Czując potrzebę zahartowania swej demonicznej energii, Makbet udaje się do ciemnego kunsztu trzech sióstr losu, które łudzącemi wróżbami utrwalają w nim pewność przekonania, że żadna ludzka potęga zmódrzyć go nie może. Ta fatalistyczna pewność bezpieczeństwa potęguje do ostatnich granic jego dziką energię i daje swobodną możliwość rozwoju wszystkim okrutnym instynktom, drzemiącym na dnie jego czarnej duszy. Ta jednak zbyt ufną opiekę losu popycha właśnie Makbeta do czynów, które spełniając miarę jego zbrodniczej i niszczącej działalności, wywołują przeciw niemu zgubną katastrofę i reakcję porządku moralno-społecznego, gdy tymczasem jego współzbrodnicy w zbrodniczym zawodzie doświadczą tajemnej a nieubłaganej reakcji pogwałconych uczuć szlachetnych oraz instynktów natury. Wszystkie wstrząśnienia nerwów, wszyst-

<sup>1)</sup> Poglądy na psychiatryczną stronę tragedji czerpaliliśmy z wybornego studjum dr. med. Onimus'a: „La psychologie médicale dans les drames de Shakespeare.”



## Drobny przemysł na Wystawie Paryskiej.

## IX.

Praca nasza dobiega już końca—boć i wystawa wielka zamknięta i wystawa robotnicza zamrze niebawem w objęciach słońca zimowych, które opustoszą ostatecznie całą dzielnicę po za Inwalidami położoną.

Więc na zakończenie chcę z wami pogawędzić o dwóch głównych dźwigniach rzemiosła we Francji, o szkołach specjalnych rzemieślniczych i o kredytowych instytucjach dla drobnego handlu.

Bez obu tych pomocy rękodzieła w Paryżu takby mizernie stały, jak stoją w Warszawie, bez jednej z nich stałyby niewiele lepiej. Zaczniemy od szkół—i prelekcji. Szkoły te utrzymywane głównie przez miasto, dzielą się na dwa rodzaje—na szkoły o kierunku ogólnym i szkoły specjalne. Pierwsze, a mówimy tu o instytucjach dla dorosłych przeznaczonych, funkcyjną zwykle wieczorem i ze względu, że znaczna większość paryżan czytać i pisać umie—dają za wygraną instrukcji elementarnej i biorą się od razu do poważnych rzeczy, do wykładów specjalnych z języka, literatury i historii ojczystej, języków obcych—fizyki przemysłowej, prawa, higieny, chemii stosowanej—z astronomii popularnej i t. p. Lekcje każdy przedmiot ma dwie lub trzy tygodniowo, a ten sam lokal zwykle przez szkołę elementarną użyczony, dla kilku oddzielnych wykładów służy. Nie potrzebujemy dodawać, że tego rodzaju wykłady, urządzone przez towarzystwo filotechniczne i inne temu podobne, obok bezpośrednich korzyści, przynoszą klasie rzemieślniczej korzyści pośrednie—a mianowicie uczą ją szukać rozrywki z nauką połączoną, przyzwyczajają do studyów samodzielnych z książką w ręku, przygotowują do wykładów wyższych miewanych w instytucie sztuk i rzemiosła i po lokalach takich jak cyrki, sale koncertowe i teatru, w razie zjawienia się nowego wynalazku. Wreszcie ojciec, który sam o szkole nie zapomina, oceni w każdym razie jej doniosłość dla przyszłości swej dziatwy—i dziatwę tę napędzać będzie do książki i do ołówka, posyłając ją nietylko do elementarnej szkółki, ale i na wykłady specjalne z ich przyszłym fachem związane.

Szkoły takie specjalne szycia, pończosznicstwa, stolarszczyzny i t. d., podobne w zasadzie do kursów rzemiosła dla kobiet, które w Warszawie przez jakiś czas modne były—w wykonaniu różnią się od takowych znacznie jakością, a przedewszystkiem ilością nauczycieli i uczniów. Liczba tych ostatnich zmienia się stosownie do rzemiosła, a wynosi przeciętnie—90, w ten mianowicie sposób, że kursów któreby mniej jak 60 uczniów liczyły, jest zaledwie jeden kurs krawiectwa, przed sześciu miesiącami ufundowany, a liczący uczniów 50, gdy najdawniejsze kursa trwające już po lat 6 i 9, liczą uczniów więcej, a kurs jubilerszczyzny rachuje ich 200.

Zaznaczyć musimy jeszcze, że w każdej szkole, czy to krawieckiej, czy szewskiej, czy jubilerskiej, rysunek jest obowiązkowy, a przytem że każda robotnicza dzielnica parę podobnych szkół posiada. Środki utrzymania profesorów szkół takowych czerpią głównie z zapomóg, jakie zarządy szkolne dostają od syndykatów, inaczej mówiąc od urzędów cechowych danego rzemiosła, choć ze względu na podział syndykatów na syndykaty majstrów i syndykaty czeladzi—jedne szkoły mają podwójną subwencję, bo od obydwóch syndykatów, inne zadawalniać się muszą subwencją pojedynczą przez majstrów lub przez czeladź płaconą. Między szkołami których program wpadł nam w oczy,

szkołą jubilerską uczącą rysunków i modelowania popierana jest przez majstrów i przez czeladź, podobnież i szkoła zegarmistrzowska, gdy inne przez czeladź samą są utrzymywane.

W tem ogólnem dążeniu do oświaty, które rada miejska paryżka, złożona ze szczerych republikanów, ile mocy popiera, nie została pominięta i muzyka wokalna, której cywilizacyjne znaczenie uznane jest przez nowożytną pedagogię. Każda tedy z dzielnic Paryża ma wieczorne bezpłatne szkoły śpiewu, prowadzone przez głośnych nawet nauczycieli i bardzo ucześnie.

A teraz przejdźmy do drugiej dźwigni przemysłu paryżkiego, do zasad rządzących francuzkim detalicznym handlem. Nim jednak wykazywać zaczniemy różnicę między paryżkimi i warszawskimi kupcami, zwrócić musimy uwagę, że i bez szkół o których wyżej mowa, przemysł paryżki znajdował ciągłe poparcie i podniętę, tak w wykładach w instytucie sztuk i rzemiosła, jakoteż w licznych muzeach i galeryach, na których się gust robotnika paryżkiego kształcił. Każdy z tutejszych wynalazców, zanim się zabierze do wykonania pomysłu, który mu się w głowie urodził, odbywa pielgrzymkę do muzeum sztuk i rzemiosła, gdzie znajdzie modele przeróżne przyrządów zbudowanych na tej samej, a przynajmniej na zasadzie podobnej do zasady, którą on wziął za podstawę swej konstrukcji. Po obejrzeniu tych modeli, mechanik nasz będzie wiedział czy jego pomysł jest naprawdę nową rzeczą, czy też był już do życia, lubo bez skutku, powoływany. Obok konserwatorium sztuk, wybornie do peregrynacji tego rodzaju nadaje się depo pomysłów brevetowanych, w którym mieszczą się wszystkie próby i wynalazki patentowane bez poręczenia za ich dobroć, jak się brevet wyraża. Opłata od takiego patentu wynosi 100 fr. rocznie, a dochód z tych opłat wcale pięknej corocznie dochodzi cyfry, z tej mianowicie racji, że przemysłowcy francuzcy najmniejsze nawet patentują ulepszenia, opierając się na jurysprudencji sądów tutejszych, które każdy plagiat w dziedzinie przemysłowej srogimi nawiązkami karzą, przysądżając do potężnych cyfr dochodzące wynagrodzenia szkód i straconych korzyści. Przed kilku np. dniami dentysta, który sprzedał swój zakład z warunkiem nieotwierania podobnego zakładu w promieniu 500-metrowym—za złamanie tego przyrzeczenia skazany został na nawiązkę 15,000 franków, chociaż inkryminowany zakład przez stronę interesowaną w parę miesięcy został wykryty i przed sądem oskarżony.

Główną tedy różnicą między paryżkim a naszym handlem detalicznym jest tutaj unikanie pośredników, którzyby producenta od detalisty oddzielali—a którzy go u nas oddzielają. Na prowincyi czy w Warszawie każdy z detalistów zaopatruje się w towar u churtownika, a i ten jeszcze nie ma zwyczaju u rzemieślników zapas swój kompletować, ale kompletuje go w zagranicznych fabrykach, bez względu na to czy produkt żądany może lub nie może być w kraju wyrabiany. Ztąd też wszystkie potrzeby codziennego życia od igły i śpilki aż do stołowego zegaru sprowadzamy z Niemiec i na wszystkich tych rzeczach krajowy rękodzielnik najmniejszego nie ma zarobku. Gdyby można było domy wybudowane koleją sprowadzać, z pewnością w Warszawie pozamykanoby i cegielnie i stolarskie warsztaty.

Powodem podobnej manipulacji jest przedewszystkiem brak gotówki tak u rękodzielników, jak i w pugilaresach panów detalistów, którzy wolą gorszy i droższy towar na kredyt, niż lepszy a tańszy za gotówkę. Biorąc weksle za pończochy, laski, płótna i t. p., churtownicy niechętnie one rzeczy za gotówkę kupują i sami szukają kredytu,

który im naturalnie tylko wielkie fabryki zagraniczne dać mogą. Przy podobnej operacji towar drożeje o jakie 20 procent, a związany kredytem z pewnymi domami, churtownik nie ma przy zakupach dostatecznej swobody—ale w obec braku konkurencji między składnikami, z których kaźden ma klientelę kredytami z nim związaną, okoliczność to mniejszej dla handlujących jest wagi, bo i lichota towarów i ich cena ostatecznie na skórze konsumentów się odbije.

We Francji rzeczy te mają się trochę inaczej. Tutaj churtownicy nie gardzą detaliczną sprzedażą i takie magazyny Louvru, Dobrego diabła i t. p. są rzeczywiście składami churtownymi, dającymi na sztuki olbrzymie swoje zapasy, nabyte od fabrykantów w połowie, a w drugiej połowie od rzemieślników, którzy po domach na rachunek magazynów pracują. Wprawdzie taki Louvre szuka jak najtańszego towaru i całą np. bieliznę szyć sobie każe w klasztorach, co mu za bezcen przychodzi—ale w kaźdym razie on Louvre jest pośrednikiem jedynym między producentem i konsumentem. Postawieni w obec podobnej konkurencji drobni kupcy, chcąc nie chcąc muszą starać się o towar z pierwszej ręki i wynajdywać robotnika, któryby wprost dla nich pracował. Ma to dla nich pewne niedogodności, ma i dobre strony. Niedogodność główna w tem leży, że rzemieślnik często potrzebuje zaliczki, a nigdy prawie nie może produkować na kredyt, więc pan kupiec trzyma rękę w kieszeni i co chwila za jakiś towar płaci—korzyść zaś na tem polega, że grosz w handel włożony obraca się bardzo często, bo mając pod ręką fabrykanta, towar staluje się u niego na sztuki, a co najwyżej na tuziny—więc w nim nie trzeba wielkich więzić kapitałów, ani być na straty narażonym przez wypłnienie, zakurzenie się lub zwietrzenie przedmiotów, które to wypadki w naszym detalicznym handlu zawsze przewidywać trzeba. Do takiego zresztą uregulowania się stosunków przyczyniła się niemało częsta zmiana mody we Francji, zmiana która nietylko ubrań kobiecych, ale wszelakich drobiazgów dotyczy. Zanim nasze magazyny warszawskie coś modnego sprowadzą, to Paryż i Francja cała o onej modzie już dawno zapomniały, bo tutaj przy produkcji z dnia na dzień, o której mowa, sezon ubrania kobiecego kończy się w przeciągu 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miesięcy, a sezony innych rzeczy nie trwają dłużej nad pół roku.

Wobec przeciw owoych wszystkich konsyderacji, rzeczy nie mogłyby iść jak idą, gdyby we Francji kapitał był droższy i w niewielu rękach skoncentrowany. Nie jeden nasz kupiec płacąc churtownikowi drogo za jego pośrednictwo, wie że kupił towar lichy, ale wie równocześnie, że w ten tylko sposób mógł załatwić interes, bo gotówki nie miał i towar na weksel dostał. Wprawdzie weksel naszego pana X lub Z nie próżnuje w rękę churtownika i zażyrowany zamienia się na drugi dzień w miłą gotóweczkę, drzwi bowiem bankowego Sezamu zamknięte dla drobnego kupca, otwierają się na głos pewnych firm często i szeroko.

Naturalnie prywatnym bankom trudno narzucić z kim i jak handlować mają—ale banki państwowe powinny starać się o popieranie drobniejszych kupców i dostarczać im w razie potrzeby pieniędzy w małych kwotach. Nie wdawalibyśmy się w rzecz nieswoją, gdyby nie okoliczność że skargi na działalność banków niemieckich są coraz częstsze i że upadek drobnego przemysłu przypisują tam w części manipulacyom giełdowym, takim jakie się u nas praktykują.

Naturalnie w krajach bogatych, gdzie kapitał szuka pomieszczenia i złożony na rachunek bieżący ledwo 1% przynosi, kaźden z kupców a nawet rękodzielników, byle pracował i żył oszczędnie, dostanie pieniędzy

